

665

to warto znać: „TANGO”

ŚLAWOMIR MROŻEK

Teatr Im. Cypriana Norwida w Jeleniej Górze

Fot. Henryk Szoka



Artur bohaterem pozytywnym? (Maciej STASZEWSKI — Artur)



Edek się spodoba? (Stanisław KOZYRSKI — Edek, Janina JANKOWSKA — Eleonora, Kazimierz MIRANOWSKI — Stomil)

Wracamy raz jeszcze do Mrożka i myślę, że nieraz jeszcze będziemy wracać. Zaczynamy ponownie pasjonować się jego dramaturgią. Rozochoceni jego powrotem na scenę, zaczynamy się zastanawiać nad tym, jaki on jest. Dziś, po latach niewidzenia Mrożka na scenie, sądzę, że pierwsze wrażenia były dość jednostronne, a wnioski nie zawsze słuszne. Dziś na pewno nie można wystawić Mrożka tak, jak wtedy, kiedy powstawała większość jego sztuk. Minęło niewiele lat od powstania „Tanga”, ale widocznie były to lata szybko płynące.

Jeleniogórskie „Tango” (reż. J. Bur-ski) jest młode. Młode w sposób autentyczny. Dzisiejsze. Artur (Maciej Staszewski) wygląda jak grzeszny chłopiec z dobrego domu lat siedemdziesiątych. Jest surowy i pryncypialny. Kiedy na początku próbuje tylko zaprowadzić ład we własnym domu, od razu zarysowuje się konflikt pokoleń. Postawy życiowe wynikają dopiero z tego pokoleniowego przedziału. Nie byłam pewna, czy to słuszne. Zbyt mi się to „Tango” wydało przez to optymistyczne. Że niby to rozmaitanie stomilowskie, ten bezwład, gotosłowie należy już do przeszłości, do odchodzącego pokolenia. Jeszcze jest w teraźniejszości, ale nie ma już go w przyszłości. A więc Artur bohaterem pozytywnym? To także za proste.

Nie ma w tym spektaklu babci „w trampkach i sukni bałowej”, nie ma nagromadzenia dziwaczności w dekoracjach. Są ludzie ubrani aktualnie, z pomieszaniem ekscentryczności i niechlujstwa. Jest duża przestrzeń, zaśmiecona znaczącymi przedmiotami. Przy czym „scena” robi wrażenie optycznie większej niż „widownia” (wszystko odbywa się na tym samym poziomie i w tym samym pomieszczeniu). Ustawienie krzesel dla widza, ich ilość, ich rodzaj — wszystko to nabiera coraz większej ważności. Nie ma już od dawna nic „awangardowego” w tym, że akcja odbywa się na widowni, a widzowie siedzą na scenie itp.,

ale takie przemieszczenie przestało być zabawą samą w sobie. Wymaga pretekstu. Łatwiejszy kontakt z widzem nie jest sprawą automatyczną, nie tworzy się z niczego, nie wystarcza to, że siedzimy o pół kroku od grających aktorów. Jednakże fakt, że przestrzeń jest tam, gdzie się coś dzieje, a anonimowi widzowie są stłoczeni obok siebie, tylko na razie nie ma znaczenia. W finale zaś procentuje poczuciem zagrożenia.

Na razie akcja toczy się zwyczajnie. Karty z Edkiem, spotkanie Artura z Alą, ślub, który ma być demonstracją przeciw anarchii i rozprężeniu, wreszcie zbliżenie się ku nieuchronnemu bankructwu tej odnowy. Jak każde pokolenie ludzi myślących, Artur przeżywa świadomość własnej bezsilności. Jego monolog o władzy, którą może mieć każdy, nie rodzi się z siły, ale ze słabości. Jest to ostatnie słowo skazanego. Już w tym momencie zaczyna się czas Edka.

Finał w tym spektaklu jest rozbudowany. Edek w takt „La Cumparsity” „wytańcza” ze sceny wszystkie osoby dramatu. Z każdą osobą tańczy inaczej, ale jego taniec zawsze jest arcydziełem pospolitości i złego smaku i zawsze kończy się za kulisami. Skąd już się nie wraca...

Był taki moment, kiedy zdawało mi się, że reżyser przeciągnął strunę. Że jeszcze trochę, a Edek się spodoba. Że przy nim pozostanie sympatia widowni, że przecież to swój chłop i w dodatku zwycięzca. Ale zanim domyślałam tę myśl do końca, okazało się, że ten Edek nie zostawia szansy nikomu. Widownia jest taka mała, że właściwie każdy z nas mógłby zostać „wytańczony” przez Edka ze swojej rzeczywistości. Zniknąć. I tu właśnie, w finale dopiero, konflikt pokoleń zamienia się w konflikt epok. Edek od biedy mógłby być nawet rówieśnikiem Artura. Albo wuja Eugeniusza — to nie ma znaczenia. Rzecz istotna, że jest z innej epoki. W finałowym momencie świat zrobił wielkie koło, żeby do tej epoki wrócić. I to jest straszne. C.